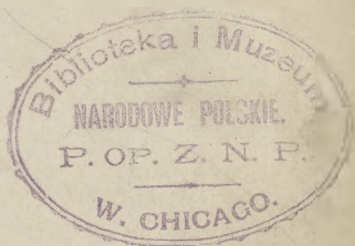
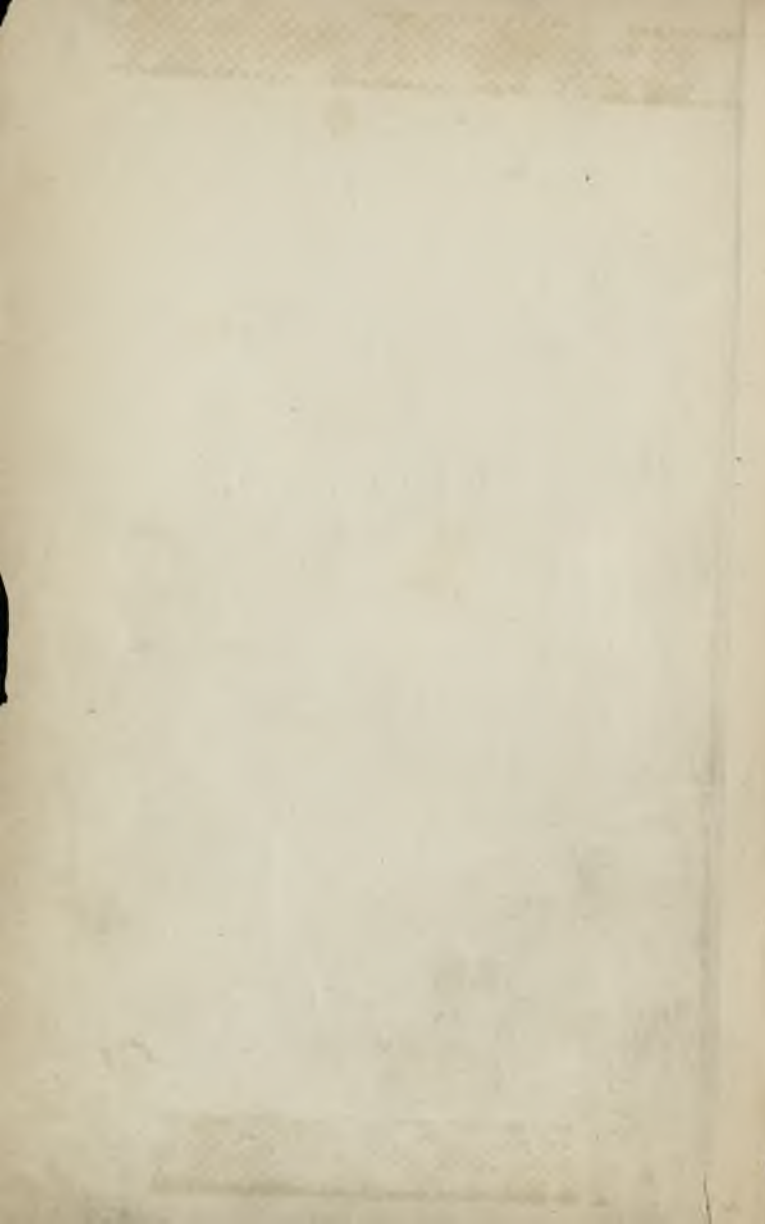


1201

TARŁÓWNA.



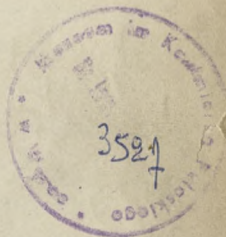


Adam Krchowiecki.

1201

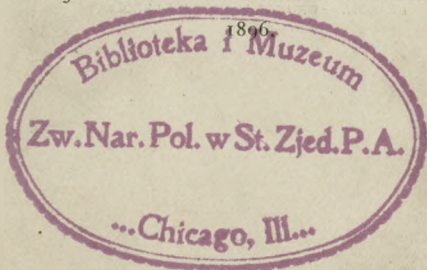
~~C. 387.~~

TARŁÓWNA.

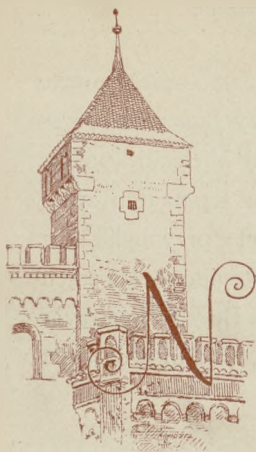


LWÓW.

JAKUBOWSKI & ZADUROWICZ.



KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.



a zamku Tarłów w Czaplach czyniono wielkie przygotowania; córka bowiem Jana Tarły, chorążego lwowskiego, słynna z nadzwyczajnej urody, którą wszystkich czarowała, miała poślubić hospodara wołoskiego, Bogdana.

Podówczas, a było to w jesieni r. P. 1571, nie żył już rodzic Jadwigi, chorąży lwowski, lecz przydani sierocie przez

króla Zygmunta Augusta opiekunowie, poważne senatory, Jerzy Jazłowiecki, wojewoda ruski, i Mikołaj Mielecki, podolski wojewoda, chętnie się na ten związek zgodzili, a nawet przychyłili ku niemu matkę-wdowę, Reginę, która zrazu podejrzliwem okiem na Bogdana patrzyła i w kłopoty wołoskie, jak mówiła, nie chciała się wdawać.

Ale ją przekonano.

Sprawa to była nie łatwa, ileż Jmćpani Regina charakter miała twardy i do porywczosci skłonny. Cała zapalczywość rodu Malczyckich, którzy jednej dzielnicy z Boratyńskimi byli, a których Jmćpani Regina ostatnią już pozostała latoroślą, skupiła się w niej i często pokonać się nie dawała.

Gdy się zakłęła, Boże uchwaj: — Jakem ostatnia z Malczyckich!... — to można było łącniej mury czapelskiego zamku obalić, niż ową wolę.

W tym jednak wypadku, czy to głos statecznych senatorów opiekunów, czy może miłość dla córki, która dla swej urody i przymiotów zdawała się jej być godną nawet królewskiego berła, przewały szalę na korzyść hospodara.

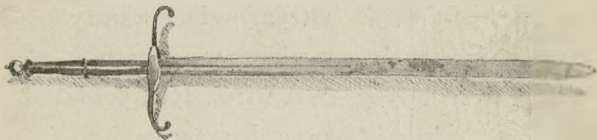
Zgodziła się; chociaż w głębi duszy nie mogła potłumić obawy i niechęci do »Wołocha«, — jak go z pogardą zwała. A że była to niewiasta hartu wielkiego, więc zabywszy trosk swoich, a upatrując w związku takowym przeznaczenie boskie, jęła przygotowania czynić do zaślubin, które z uroczystością niezwy-

kła odbyć się miały na zamku w Czaplach.

Już tedy przybyli Jazłowiecki i Mielecki, wojewodowie; przybył kasztelan kamieniecki Hieronim Sieniawski, pan na Brzeżanach, przybyło Tarłów, Herburtów, Daniłowiczów wielu, — panowie możni z pocztami świetnymi, — a także uboższa okoliczna szlachta, dla uczczenia tak wielkiego obrzędu.

Gdy kto rankiem przechodził opodal, a spojrział ku zamkowi, który na wzgórzu, w czworobok zbudowany, wysokimi basztami swemi i murami stał na straży całej okolicy, — to mniemać mógł, iż jakaś wyprawa gotuje się wojenna, tyle tam było zgromadzonego rycerstwa i pacholików zbrojnych.

Zamek był obronny i wielki, więc się to wszystko tam pomieścić mogło; o nakarmienie zaś owego tłumu sama Jmć pani Regina staranie miała, krzątając się od rana, a rozkazy roztropne wydając, iżby nikomu na niczem nie zbywało.



Ostateczny termin się zbliżał. Otworzono tedy najprzedniejsze komnaty zamkowe, kędy miała się odbyć biesiada weselna.

Komnaty olbrzymie a ponure. W największej z nich, czarne mury od góry do dołu zawieszane były zbrojami z różnych czasów, — chlubne pamiątki rodo-

we; miecze, buzdygany, pancerze a tarcze, wszystko zaś bardzo kunsztownej roboty i mające tradycję swoją, przekazywaną z pokolenia w pokolenie, która pamięcią sławnych przodków utrzymywała ducha rycerskiego w potomstwie.



24.

A wśród tych zbroic zwracał uwagę habit zakonny franciszkański, zdarty, połatany, — pamiątka po owym Janie Tarle, który jakkolwiek wielkimi łaskami króla Kazimierza Jagiellończyka zaszczycony, mógł

po najwyższe dostojeństwa sięgnąć, prze-

niósł wszelako ubogie życie zakonne i na peregrynację do Ziemi Świętej się udał, kędy też świątobliwego żywota dokonał.

A tak na murach zamczyska, zbrojami owemi i tym habitem mniszym wypisaną była cała tradycja rodu, przekazywana potomności: rycerskie męstwo i pokorna pobożność...

W sali tej ustawiono w pośrodku stół ogromny na stopniach, przeznaczony dla nowożeńców i najznakomitszych panów. Dalej rozmieszczono inne stoły, a wszystkie pięknie ozdobione szczerozłotą i srebrną zastawą. Wzdłuż nich ciągnęły się ławy bogatymi kobiercami pokryte, a przy głównym stole dla nowożeńców przygotowano dwa krzesła olbrzymie, pięknymi rzeźbami ozdobione, z wysokiem opar-

ciem, u którego szczytu widniały godła herbowe: Korczak Malczyckich i Topór Tarłów, a także dodano teraz, u góry, godło gospodarstwa: głowę żubrzą, z cyr-



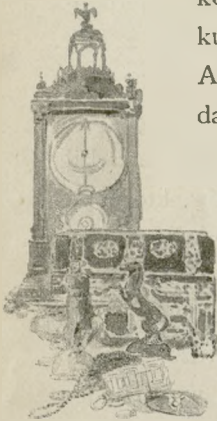
kułem złotym w nozdrzach, i gwiazdą nad łbem rogatym, a sierpem księżycą i tarczą słoneczną po bokach...

Z salą tą łączyła się niewielka komnata, której podwoje osłonięte były wspa-

niałą makatą. Wnętrze zaś jej miało zgoła odmienny charakter. Same tu były jedwabie, aksamity i kobierce najdrogocenniejsze, a także zwierciadła z tafli wydymany, w bogatych ramach, z Wenecyi sprowadzane.

Mówiono, jako komnatę ową urządził był przed laty jeden z Tarłów, który po cudzoziemskich krajach długo wędrując, wyniósł stamtąd miększe obyczaje i — nieszczęśliwą miłość. Komnata bowiem owa urządzoną była dla bardzo przezeń umiłowanej niewiasty, która w rychle jednak umarła... A komnata, jako pamiątka nietrwałego szczęścia, pozostała nienaruszona i nie otwierana, aż do dnia tego, w którym z powodu zaślubin Jądwigi, przeznaczono ją na pomieszcze-

nie darów bogatych, składanych pannie młodej, przedewszystkiem zaś podarunków królewskich, które opiekunowie w imieniu Zygmunta Augusta złożyć jej mieli, oddając ją małżonkowi.



A dary te były iście monarsze. Na dni kilka przed oznaczonym terminem zaślubin, złożono je w owej komnacie, oświetlonej rzęsiście, aby wszyscy przypatrzyć się im mogli. Chadzano tedy tam tłumnie i podziwiano, nie mogąc oczu od tych wspańności oderwać.

Między innemi była tam wielka szka-

tuła szczerozłota, i druga cała z bursztynu, a na niej ryte dryady i morskie boginie; dalej, zegar wielki, pozłocisty, wyrażający zodyak i bieg planet niebieskich, a w nim ułożone cymbały, wydawały



najprzyjemniejsze dźwięki. Prócz tego było tam mnóstwo klejnotów, które blask oślepiający rzucały, były i futra drogie i materye różne najrzadsze.

Przysposabiano też na czas wesela, które dni kilka trwać miało, rozliczne zabawy, jakoto: gonitwy rycerskie i inne

igrzyska a także maskary, które w pochodzie pierwszego wieczora, wśród ognisk i różnych cudów kunsztu puzkarskiego, miały się ukazać. Dziwowano się zwłaszcza jednemu wozowi, który miał być ciągniony w sześć koni z ~~przyprawionemi~~ skrzydły. Na nim miał zasiąść Herburt, bardzo wdzięczny młodzian, przebrany jako Kupido z kędzierzawą głową, związanemi oczyma i sajdakiem na ramieniu, a podle niego małe chłopięta śpiewające. Było też wiele innych maskar przygotowanych, bardzo ucieśnych, jako owa Wenus na dwu wielorybach, trzymająca Parysa łańcuchami związanego. Za boginią miało być niesioné jabłko szczerozłote, które potem do ręku panny młodej opiekunowie oddać mieli.

Po weselu zaś gotowano wielki pochód tryumfalny, który państwa młodych odprowadzić miał, częścią do Samborza, częścią do granicy, a częścią aż do stolicy gospodarskiej. W orszaku tym przede wszystkim miała wziąć udział milicya Tarłów: stu kozaków z toporami, jako godłem herbowem, w szkarłatach pancierzami okrytych; dalej hajducy Jazłowieckiego i Mieleckiego, w zbroi żelaznej i w płaszczach. Ci mieli poprzedzać karocę panny młodej, która była kształtu tryumfalnego wozu, z szerokimi oknami, wewnątrz srebrną, litą materyą wybitą. Karocę tę otaczać miało najprzedniejsze rycerstwo, konno, w strojach wspaniałych.

A tak, gdy już wszystko przygoto-

wane było, poczęto z coraz większą niecierpliwością oczekiwać na Bogdana, który winien był przybyć najpierwszy, a nie przybywał nawet ostatni.

Już od dni kilku na zamkowym wzgórzu i na wzgórzach okolicznych zapalano co wieczór beczki smoła oblane, dla oświetlenia drogi, ile że wczesna rozsrożyła się zima i śniegi spadły nawalne, trudne do przebycia.

Paliły się te beczki jak stosy ofiarne i gasły co nocy nadaremno... Bogdana nie było.

Pani chorążyna, która krzątając się ustawicznie, a myśląc o wszystkim, nie zapominała wydziwiać srodze na »Wołocha«, a nawet kląć czasami, w przeddzień terminu z wielkiego frasunku zamilkła,



i już jeno niespokojnemi oczyma wodziła za córką, która bezmowna, zamysłona posepnie, albo stała przy oknie w dal patrząc, albo zamknięta w swojej komnacie, na arfie tęskne wygrywała melodye.

Panowie zaś Jazłowiecki, Mielecki i kasztelan Sieniawski, siedząc tymczasem przy kuflu miodu, który u Tarłów przedni bywał, ciągle dyskusye wiedli o różnych publicznych i prywatnych sprawach.

Pan Mielecki chwalił sobie bardzo Wołoszczyznę i pragnął, iżby ją stanowczo od Turka wyzwolić a z Rzeczpospolitą związać.

— Kraj — prawil — piękny, żyzny, bogaty, oddawna hołdowniczy, a oto

z tego nie umiemy korzystać. Sam w ręce lezie, my zaś na Turków oglądamy się i nie bierzemy go...

Pan Jazłowiecki przychyłał się do tego zdania i winę przypisywał królowi.

— Stary jest przed czasem — mówił — życie go zżarło; gdzie mu teraz o jakichkolwiek przedsięwzięciach myśleć!.. Chory jest, do swego Knyszyna tęskni...

A pan Hieronim Sieniawski nie odzywał się zrazu.

Był to pan już nie młody. Przeszło sześćdziesiąt lat dźwigał na barkach; lecz barki te były dzielne, postawa rycerska. Wysokiego wzrostu, wzrokiem bystrym, iskrzącym się, patrzył z pod brwi siwych. Siły wielkiej, nieposkromionego męstwa, a w rzemiośle wojennem biegły, niemniej





też mądry w radzie, ceniony był wielce pan kasztelan i na królewskim dworze. Serce miał przytem, zwłaszcza dla płci niewieściej, miękkie, iż go już niejedna białogłowa w swe sidła zaplątała.

W małżeńskim wszakże pożyciu nie zbyt mu się wiodło. Trzy razy związki ślubne ponawiał, lecz i trzecią małżonkę przed dwoma laty pochował z kolei w podziemiach brzeżańskiego kościoła.

Pochował przystojnie a pocieszył się rychło i mówiono, jako pan kasztelan o czwartem małżeństwie zamysła.

I śmiano się.

— Już chyba — żartowano — ta czwarta za tamte się pomści i pogrzebie kasztelana...

A pan Sieniawski śmiał się także i gdy

go takowe żarty dochodziły, nie bronił się wcale jeno odpowiadał, jako zwykł był czynić, przysłówiami:

Ptakowi w klatce,
Rybie w sadzawce,
A człeku bez żony
Świat obmierzony.

I nieraz przywdziawszy szaty wspa-
niałe, delię sobolową i kołpak z olbrzy-
mim dyamentem, rozjeżdżał z licznym
pocztem swych przyjaciół po okolicy,
i przypatrywał się różnym białogło-
wom, — ale mu jakoś żadna nie przy-
padała do serca.

Ciągnęło go tylko do Czapel, kędy
czarne oczy panny chorążanki przenikały
go na wskrós. Dziwna wszakże nieśmia-
łość go opanowywała, ilekroć miał już

wyrzec słowo stanowcze. A wreszcie owe zamiary hospodara wołoskiego i wyraźnie objawiona wola królewska powstrzymały całkowicie pana kasztelana.

Niechętnie jednak spoglądał na to wszystko i przysłuchując się dyskursowi pana Jazłowieckiego z panem Mieleckim o sprawach wołoskich, targał od czasu do czasu siwego wąsa z gniewem.

A gdy wreszcie pan Mielecki począł hospodara Bogdana pod niebiosa wynosić: jako królowi przyrzekł 24.000 żołnierza stawić w pomoc i jako z Polakami ściśle się brata, — pan Sieniawski wielką swą postać aż z ławy dźwignął i w stół pięścią uderzył.

— Co też Waszmość prawisz! — krzy-

knął. — Wiele obiecować a mało iść, to sprawa wołoska...



Na to weszła do komnaty pani Regina i usłyszawszy ostatnie słowa, przyklasnęła im z radością.

W chude dłonie bijąc, zawołała:

— Jakem ostatnia z Malczyckich, prawda!...

Pan kasztelan powstał na to całkiem z ławy i z niskim pokłonem, posuwicie, zbliżył się do pani chorążyny a z widocznem ukontentowaniem w ręce ją całował.

Tymczasem panowie Jazłowiecki i Mielecki spoglądali na siebie, mrużąc oczyma na znak porozumienia.

Pan Mielecki, średniego wzrostu ale dziarski mąż, w wielu wyprawach wojennych już wypróbowany i sławą okryty, a bardzo poważny, uśmiechał się rzadko; więc tylko usta wyduł i jedno oko zmrużył, jako zwykł był czynić, gdy mu się śmiać chciało. Pan Jazłowiecki zaś, równie stateczny senator i człek rycerski,

Tatarom a Turkom straszny, lecz pomimo podeszłego wieku, jowialnego humoru, tłumiąc śmiech głośny, twarz chudą i pomarszczoną kurczył bardzo zabawnie i prostował sztywnie wysoką a kościstą swą postać.

— Byłem ja — rzekł zcicha do p. Mieleckiego — w tureckiej niewoli, ale w takim białogłowskiem jarzmie, jako pan Hieronim, chadzaćbym nie chciał... Może on teraz o wdowie myśli, mówiąc sobie: »lepsza baba w zamku, niż rycerz pod zamkiem!«

A na to pan Mielecki i drugie oko przymknął, usta zaś tak wyjął, iż mu końce wąsów długich a siwych ku skrońcom sięgały.

Pani Tarłowa bowiem nie była wcale

nadobną. Jak tam w młodości było — niewiedzieć. Lecz na starość wyschła jak szczypa, — skóra a kości. Na twarzy, jako na przemarzłej kartofli, pełnej załamów a zmarszczków, paliły się jeno oczy czarne, wielkie, w głąb zapadnięte, które rzadko wyrażały łagodne uczucia. Miała także Jmćpani Regina ten zwyczaj niezbyt powabny, iż mówiła dużo a szybko, nie słuchając zgoła i o to się nie troszcząc co do niej mówiono. Gdy zaś poruszoną była, to palce długie, kościste, wyciągała przed siebie, jakby temu, kto jej się przeciwiał, oczy wydrapać chciała. W gruncie jednak miała serce jak wosk miękkie, rozum przytem niepośledni, chociaż nieuczony, — ot, tak z natury, —

i dobroczynna była pani, którą wszyscy szanowali.

Pan Sieniawski, nie zważając też wcale na docinki towarzyszków, różne ozdobne słówka pani chorążynie prawił, które ona ochotnem przyjmowała sercem, a żalić się znów poczęła na obmierzłego Wołocha.

— Co począć? — prawiała żywo. — Król Jegomość, sierot obrońca, rozkazał; wyznaczeni opiekunowie...

Tu przerwała i wzrokiem iskrzącym spojrzała na Jazłowieckiego i Mieleckiego.

— Wyznaczeni opiekunowie — powtórzyła z naciskiem, wyciągając ku nim kościste, zakrzywione palce — wymogli, biedna wdowa uledez musi... Zezwoliłam,

uległam... i ot co! Wołocha jak niema, tak niema... a biedna moja dziewczka usycha z niepokoju...

Pan Sieniawski uczynił bolesciwą minę i sięgnął ręką do wąsa.

— Już to — rzekł — z tym hospodarem krucha sprawa. Jak to mówią: co się łyse urodzi, łyse zginie. W tych Wołoszech życie niepewne. Powiadają, jako tam połowa bojarów z wyłupionemi oczyma z łaski hospodarskiej chadza. A dawno to temu, jak nasz Dymitr Wiśniowiecki na haku tam dwa dni wisiał, zanim ducha wyzionął... Niedarmo urosło przysłowie: *Valachia tumulus Polonorum*... Sam pan Jerzy Jazłowiecki mógłby dać świadectwo, jako jest z hospodarami... Jako było z owym Hera-

i dobroczynna była pani, którą wszyscy szanowali.

Pan Sieniawski, nie zważając też wcale na docinki towarzyszków, różne ozdobne słówka pani chorążynie prawił, które ona ochotnem przyjmowała sercem, a żalić się znów poczęła na obmierzłego Wołocha.

— Co począć? — prawiała żywo. — Król Jegomość, sierot obrońca, rozkazał; wyznaczeni opiekunowie...

Tu przerwała i wzrokiem iskrzącym spojrzała na Jazłowieckiego i Mieleckiego.

— Wyznaczeni opiekunowie — powtórzyła z naciskiem, wyciągając ku nim kościste, zakrzywione palce — wymogli, biedna wdowa uledez musi .. Zezwoliłam,

uległam... i ot co! Wołocha jak niema, tak niema... a biedna moja dziewczka usycha z niepokoju...

Pan Sieniawski uczynił boleściwą minę i sięgnął ręką do wąsa.

— Już to — rzekł — z tym hospodarem krucha sprawa. Jak to mówią: co się łyse urodzi, łyse zginie. W tych Wołoszech życie niepewne. Powiadają, jako tam połowa bojarów z wyłupionemi oczyma z łaski hospodarskiej chadza. A dawno to temu, jak nasz Dymitr Wiśniowiecki na haku tam dwa dni wisiał, zanim ducha wyzionął... Niedarmo urosło przysłowie: *Valachia tumulus Polonorum*... Sam pan Jerzy Jazłowiecki mógłby dać świadectwo, jako jest z hospodarami... Jako było z owym Hera-

klidem Despotą, który sam siebie księciem jakowejś wyspy Samos mianował i genealogię książęcą sobie dorobił, a potem był okrutnie zabit przez Tomzę, który znów gospodarował, aż go p. Jazłowiecki schwytał i w ręce sprawiedliwości oddał. A sprawiedliwość obeszła się z nim tak, iż ów pan Tomża z własnej łaski gospodar, głowę dał pod miecz katowski na rynku we Lwowie...

Zniecierpliwił się tą mową pan Mielecki i przerwał:

— Było tak i było inaczej... Naród trochę dziki i do buntu skory, niema co rzec, ale kraj piękny, warto go mieć; Bogdan zaś nie zawiedzie... pewny jest... z nami się zrósł i wierny będzie królowi Jegomości. Nam zaś właśnie o to cho-

dzi, iżby na Wołoszczyźnie pokój ustalić...

Tu pan Mielecki powstał i zbliżył się do Chorążyny, która snadź z niepokoju o los ukochanej córki, wbrew zwyczajowi swemu, milczała i nie przerywając, słuchała co mówiono.

— Oby jeno — dodał pan wojewoda podolski — szczęśliwie owe zaślubiny odbyć i oby z zacnej krwi Tarłów dynastya na stolicy hospodarskiej zasiadła, a my wszyscy bronić jej będziemy do ostatniego tchu.. Bogdana ja nie opuszczę..

Prawicę na rękojeści miecza położył i mówił silnie, ze wzruszeniem.

Pani Regina oprzeć się także rozrzuwieniu nie mogła. W ciągłej obawie o los córki, którą nad życie miłowała,

serce jej miękło, zwykła zapalczywość stygła.

— Czyńcie waszmościowie, jak rozumiecie — rzekła słumionym głosem — wyście mądrzejsi ode mnie... Ja na książkach nie czytam i liter malować nie umiem, jeno sercem matczynem boleję i stracham się...

Zatrzymała się moment, poruszyła żywo ramionami, jakby to wzruszenie z siebie strącić chciała i mówiła dalej, już ze zwykłym impetem:

— Choćby i królewskiego berła moja Jadwiga godna. Albo to nie piękna, albo nie uczona?... Ale gdyby w tych Wołoszech zmarnieć miała, to wolałabym, iżby poślubiła tego mizeraka, który od roku już wzdycha i schnie z umiłowania

wielkiego, a rymy składa coraz cudniejsze...

Pan Jazłowiecki zaśmiał się głośno.

— Cóż to za mizerak? — zagadnął zbliżając się — co rymy składa?... Przecie nie nasz pan Jan z Czarnolasu, bo on cale nie mizerak!

Pani Regina ramionami zżymnęła.

— Sęp Kochanowskiego w kąć zapędzi! Ja nieuczona, ale jak on, ten Sęp, zacznie rymowaną mową gadać, to chyba mi jest milej, gdy moja Jaga w struny trąca.

Pan Sieniawski nie podzielał tego zachwytu, przeczuwając współzawodnika.

— Co tam rymy! — rzekł z lekceważeniem. — Lepiejby pan Sęp Szarzyński uczynił, gdyby z rodzicem swym,

panem podstolim lwowskim, nie wadził się, a roli i spraw swych pilnował, wysoko zaś oczu nie zawracał...

Na to Jmćpani Regina z wielkim impetem ku panu Sieniawskiemu, niedawnemu sprzymierzeńcowi swemu, rzuciła się:

— Nie gadałbyś waść! — krzyknęła — bo jakem ostatnia z Malczyckich na Sępa nie dam nic rzec... Stary podstoli, — bogdajby był skaran! — znęca się nad mizerakiem, że gdyby nie te Czaple, gdzie biedak przytulić się może, i gdyby nie pan podkomorzy lwowski, Starzechowski, który go protekcją osłania, to zmarniałoby niebożątko...

Pani Regina mówiła z impetem a miała

ły w głosie, tak ją nieszczęsna dola poety Sępa dojmowała.

A pan Mielecki wtrącił się tu i rzekł:

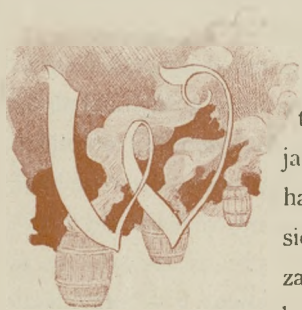
— Znam tego Sępa Szarzyńskiego. Jeździł on z panem Starzechowskim do italskiej ziemi i w Lipsku różnych rozmów się uczył a słyszałem, jako iście piękne wiersze składa... A gdzież on teraz jest?...

Pani Regina rękami rzuciła:

— Gdzie jest? albo ja wiem... Był tutaj, w Czaplach, będzie niedziel kilka. Już wtedy niepokój mnie ogarniał wielki a i Jadwiga oczy wypatrywała za owym Bogdanem. On zaś widząc to, że serce ma tkliwe, tedy zerwał się dnia jednego i pojechał na zwiady... Miał najprzód

być u pana Kaspra Paniewskiego, szwagra owego Wołocha, i z nim razem tu przybyć, aleć go niema...





tym momencie,
jakby na dane
hasło, rozjaśniły
się jaskrawo okna
zaczyska. Zapa-
lono beczki smol-

ne, które słupem płomienistym strzeliły
w górę. Smugi czarnego dymu poszły
pod obłoki, a potem zwolna spadały ku
ziemi i rozścielały się jak wstęgi, zczer-
wienione od błysków ognia. A w tych
błyskach widać było grube płatki śniegu,

jak piętna białe, wśród czarnej nocy, spadające coraz gęściej, z chmur przewalających się ciężko po niebie.

Równocześnie z owymi blaskami ozwał się huk moździerzowych wystrzałów.

Jeden strzał, a potem drugi i trzeci i dziesiąty zmącił nocną ciszę... Wybuchął, łączył się z następnym, rozchodził się echem po wzgórzach, drżał, omdlewał, nikał, i znowu wzmocniony, rozlegał się w powietrzu...

— Bogdan przybywa! — krzyknięto i rzucono się ku oknom.

Wszyscy tam stanęli: i Jazłowiecki i Mielecki i pani Regina i sam nawet Sieniawski, nieco zwłócząc, zbliżył się.

Nikt też nie uważał, że w tym mo-

mencie podwoje się otwały i do sali cicho weszła Jadwiga.

W ciemnej, powłóczystej sukni, ściśniętej w pasie taśmą złotą, bez żadnych ozdób innych, wyglądała jak posąg. Twarz miała białą i bladą, którą okalały włosy czarne jak heban, puszczone wolno, jeno przepaską szeroką, perłami wysadzaną, niby koroną uwięzione ponad czołem, gładkiem, marmurowem, pod którym paliły się oczy wielkie, czarne, głębokie, jak przepaście. Gdy spojrzały na kogo i zatrzymały się na nim, to zdawały się go wyzywać a pociągały nieprzemogłą siłą. W oczach tych były zapytania i nieświadomość, paliły się w nich płomienie i migotały błędne ogniki obietnic...

Z rozchyłonymi nieco usty, jakby w oczę-

kiwaniu, niepokoju, czy też pragnieniu ukazując rząd zębów jak śnieg białych, zbliżała się ku środkowemu oknu, tak cicho, aby nie być widzianą a widzieć...

Była widocznie mocno poruszoną. Pod suknią, rysującą wybornie wspaniałe jej kształty, znać było pierś falującą przyspieszonym oddechem.

W głębokiej framudze okna zniknęła, i przytulając czoło do szyby, wpatrzyła się wyteżonym wzrokiem w dal...

Wśród czarnej nocy paliły się pełnym płomieniem beczki smolne na wzgórzach zamkowych i dalszych pagórkach. Chwilami snopy iskier rozpryskiwały się w powietrzu i spadały z góry, zwolna, tonąc w smugach dymu, gnanego wichrem i ścielącego się brudnym pyłem na białym



śniegu... W oddali u podnóża zamku, drogą, która kręto wiła się w górę, zdążył powoli liczny poczet rycerski. W chwilowych blaskach jaśniały od czasu do czasu zbroje i nikły w tumanach dymu; tylko wśród ciszy dolatywał coraz wyraźniej tętent koni i szcęk oręża.

— Bogdan przybywa! — powtórzył ktoś znowu.

A serce Jadwigi biło coraz spieszniej...

Przybywa ten, który z objęć macierzy, często surowej, lecz kochającej nad wyraz, z tego ogniska domowego, które czasem wydawało się ponure, lecz było własne, tak bardzo własne, że oko dorosłej dziewczicy odnajdowało wśród czarnych murów zamczyska, w jego przyćmionych komnatach, wszystkie najmilsze wspo-

mnienia dzieciństwa, wszystkie pierwsze wrażenia; przybywa ten, który miał ją stąd wyrwać i jak własność swoją zabrać w kraj nieznaną a daleki, zawieść wśród ludzi obcych, o których rozpowiadano dziwa...

Jaki los tam ją czeka? jakie niebezpieczeństwa?

Odjęła Jadwiga rozpalone czoło od okna. Czoło się zmarszczyło; grzywa włosów czarnych zakołysała się na ramionach, dłonie zacisnęły.

Ona niebezpieczeństw nie lęka się... nie! W swej piersi czuje takie męstwo, że niem natchnąćby mogła Bogdana, gdyby słabnął. Owszem, panią być, rządzić, rozkazywać, to szczyt jej marzeń... Pragnęła tego, i to gospodarstwo wołoskie

daje jej jeśli nie rzeczywistość zupełną, to przynajmniej wszelkie pozory panowania...

Los padł — nie czas się wahać!

Ozwały się znowu moździerzowe wystrzały... Poczёт coraz bliższy, — widać już w świetle palących się ogni szyszaki, hełmy, dzidy, postaci rycerzy...

Za chwilę przybędzie Bogdan i jutro spełni się wszystko...

Myśl lotna obejmuje szerokie obrazy i w sercu Jadwigi złączyły się one wszystkie: wspomnienia dzieciństwa, ukochane postacie, z którymi niebawem żegnać się przyjdzie: wszystko co serce ukochało, i do czego nawykło.

A ten wysiłek co jej przyniesie? czy szczęście?

Iskrzące się oko Jadwigi zamgliło się nagle...

Och, szczęście! Byłoby tu, wśród swoich, przy macierzy surowej ale dobrej, umiejącej wyrozumieć i odgadującej myśli dziecka, wśród tych pól i wzgórz tak dobrze znanych a tak zawsze pięknych... Och, szczęście tak blisko, a tak nieuchwytnie!...

Raz, przed rokiem — w lecie to było — stała swobodna, wesoła, opodal zamku, nad Strwiążem, który tam krętą wstęgą płynie. Promienie słońca rozpryskiwały się brylantowymi odblaskami w czystych nurtach rzeki, — a ona trzymając w ręku wielki wieniec róż polnych, obrywała listki i kwiaty i rzucała je na wodę. Kwiaty

i liście, porwane prądem, szły daleko, daleko — wirując...

Rozpromienionym wzrokiem śledziła Jądwięga bieg listków po wodzie i chwilami wybuchała pustym śmiechem. Ku niej zaś uśmiechało się lazururowe niebo a nad nią świegotały ptaszęta, wesoło fruując w powietrzu.

Obok niej stał młodzian: — Mikołaj Sęp Szarzyński. — Patrzył na nią jak w tęczę z zachwytem. Czasem jeno odwracał od niej oczy, by spojrzeć wokoło, na wzgórze zielone, opromienione słońcem, na łąki, od których szła woń upajająca, na pola, na których kołysały się zwolna pełne kłosa zboża. Otwierał usta i pełną pierśią pił woń rozkoszną, otwierał szeroko oczy, by wszystkie blaski słoneczne

schwytać, otwierał duszę całą, by w nią wchłonąć tę piękność i rozkosz, która go otaczała.

I nagle opuścił głowę na piersi a z ust wybiegły mu słowa tęskne:

- »O moc, o rozkosz, o skarby pilności,
- »Choćby nie darmo były, przedsię szkodzą;
- »Bo naszą chciwość od swej szczęśliwości
- »Własnej (co Bogiem zowiemy) odwodzą.
- »Niestaje dobra, a stokroć szczęśliwy,
- »Który tych cieniów wczas zna kształt prawdziwy«.

Jadwiga spochmurniała nagle.

Największy kwiat rzucony na wodę,
zamiast z prądem płynąć, zatrzymał się
na wystającym kamieniu i targany falą,
nie mogąc przedostać się przez zaporę,
rozbijał się o nią, tracąc listki.



— To waćpan winien! — zawołała żywo Jadwiga. — Smutnymi wierszami swymi rzuciłeś urok... Zamyśliłam, że mi tak życie pójdzie, jak daleko i równo ta róża popłynie... I patrz waćpan, na kamieniu zastrzegła!

Gniewała się a łzy miała w oczach.

Poeta szybko zbliżył się ku niej...

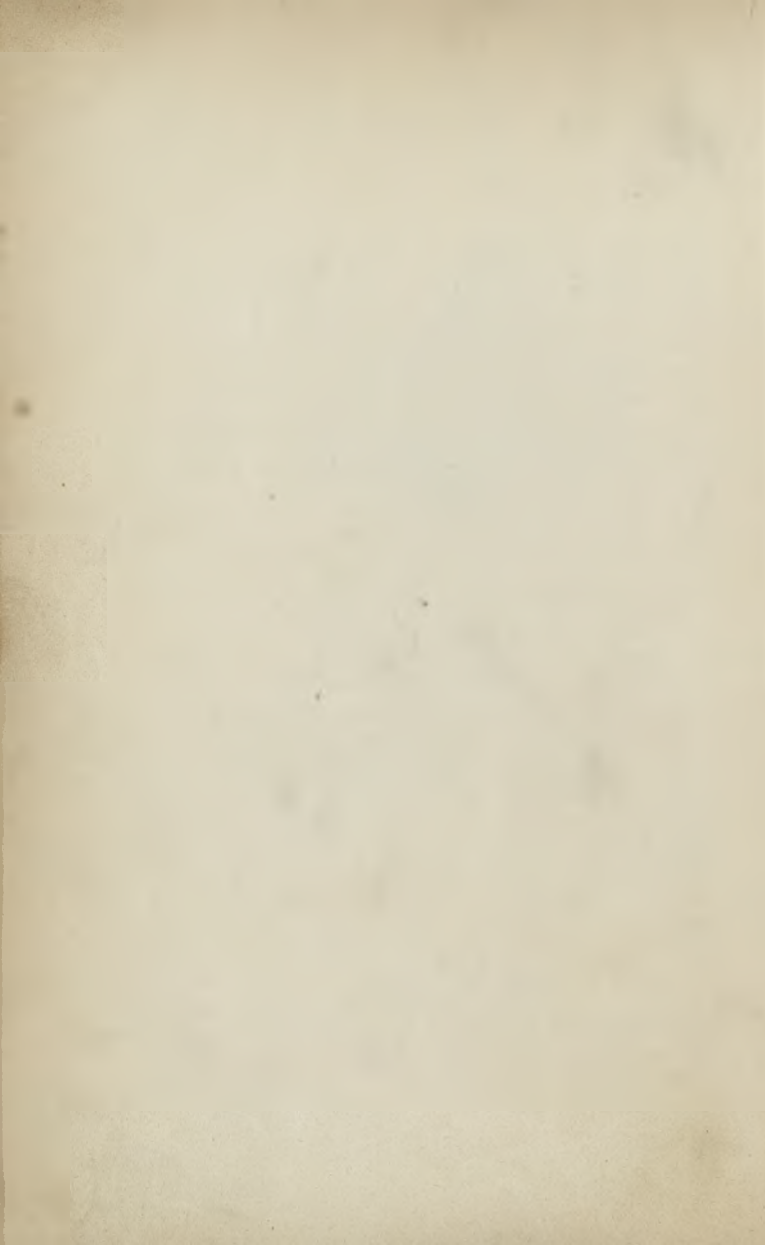
— Panno chorążanko — rzekł niemal

błagalnie — nie wińcie mnie, ani moich biednych rymów. One chyba nikomu, a tembardziej wam nie zaszkodzą... Jabym wam nieba przychylić pragnął...

Mówiąc to ręce składał.

Szczupły i mizerny bardzo, Sęp miał twarz wyrazistą, oczy duże, błękitne, czasem zadumą zamglone, która snadź jego serce i myśli ogarniała. W całej postaci przejawiała się jakby niewieścia, wcale nie rycerka miękkość. Włosy długie, jasne, które mu niemal na ramiona spadały, odrzucił z czoła białą, delikatną ręką i patrząc na Jadwigę wzrokiem pełnym niezwyklej rzewności, powtórzył cichym, a dźwięcznym głosem, który słodczą przenikał:





— Jabym wam nieba przychylić pragnął...

Ona, snadź ujęta tą słodyczą głosu, podniosła na towarzysza swego oczy, w których już nie było gniewu, ale też nie było poprzedniej wesołości.

Spotkały się ich spojrzenia na moment jeden, ale tak, że wniknęły do głębi ich dusz i zostawiły w nich ślad promienny...

I rozdzielały się zwolna, jakby z przymusem a żalem...

Jadwiga potrząsnęła głową i zawstydzona chwilowem wzruszeniem, poczęła mówić szybko i żywo, udając swobodę:

— Przedsię waćpan składasz i weselsze rymy... Czemu powtarzasz smutne, że aż serce boli...

Poeta podniósł oczy w górę i mówił w zamyśleniu, jakby sam do siebie:

— Umiem to jeno mówić, co czuję... I mnie serce boli... Dawniej muza moja była wesoła... o, bywała!... lecz dziś?... Dziś »z płaczem ganię młodości mej skoki«... Dziś serce boli...

Tarłówna znowu spojrzała na niego, lecz już z innym wyrazem, na poły badawczym, ciekawym, a na poły trwożnym.

Poruszyła się z miejsca i poszła zwolna ku zamkowi, rzucając po drodze resztę pozostałych w ręku kwiatów.

Po chwili jednak zagadnęła znów poetę, który postępował za nią.

— Czemu dziś inaczej niż wczora?

Sęp nie odrzekł zrazu. A potem zwolna, głosem bardzo cichym:

— Bo wczora, jam was jeszcze nie znał, panno chorążanko...

Jadwiga drgnęła. Coś jakby iskra przeniknęła ją od stóp do głowy; rumieniec na blade lica wytrysnął i zafalowała pierś przyspieszonym tętnem.

Ale to trwało jedno tylko mgnienie. Podniosłszy głowę, rzuciła na Sępa wzrokiem, w którym było więcej dumy niż wzruszenia, który pytał bez słów:

— Jako? ty, ty?!... śmiesz na mnie podnosić oczy?

Przyspieszyła kroku i już nie patrząc na poetę, który przyzostał, znikła wkrótce w bramie zamkowej.

Wieczorem dnia tegoż, przy biesiadnym stole, gdy proszono Sępa, aby ku zabawie przybyłych gości, rymami mówił,

on bardzo blady i milczący ciągle, wstał nagle i rzekł głosem, który drżał a miał w swem brzmieniu jakby szyderstwo, co jest bronią zranionej duszy:

- »Ubogiś? Ubogim być musisz zawždy. Czemu?
- »Bogactw teraz nie dają tylko bogatemu;
- »Chcesz mieć co? przynieśże co, bierz za słowa, słowa;
- »Taka teraz po wielkim brzmi pałacu mowa!« ...

Klaskano, chwając rym gładki; nikt znaczenia jego nie zrozumiał, chyba jedna Jadwiga, a może i pani chorążyna, która chociaż nie przypuszczała nigdy, iżby córka jej poślubić mogła ubogiego podstolica lwowskiego, a dla Jadwigi marzyła o najpierwszych dygnitarzach jeśli nie o koronie, — toć wszakże na nieśmiały ten afekt Sępa z pobłażaniem patrzała a sa-



mego poetę lubiła wielce, zwać go z politowaniem: »mizernem stworzeniem«.

Jadwiga wszakże spać nie mogła tej nocy. Coś ją w duszy bolało nieprzemogłą tęsknotą. Wziąwszy harfę do ręki, trącała w struny długo a rzewnie; potem zaś stanąwszy przy oknie, wpatrzyła się w dal, w noc ciemną, w gwiazdy migocące w górze brylantowem światłem.

I zdało się jej wówczas, że pod jej oknami, wśród drzew, przesuwa się jakaś wątła postać, jak cień...

Wpatrzyła się w ciemność i poznała.

To Szarzyński!

Zatrzymał się, podniósł głowę i stał ze wzrokiem utkwionym w okno, w którym może dostrzegął pochyloną, wiotką, białą postać niewieścią.

Jadwiga gwałtownym ruchem cofnęła się od okna.

I odtąd długo nie widziała poety. Wyjechawszy nazajutrz z Czapel, Sęp nie pokazał się tam miesiąc kilka, aż go przywiózł znowu protektor jego szczególnie, Jmćpan Starzechowski, podkomorzy lwowski. Ale Szarzyński nie był już takim jak dawniej. Wymizerniał jeszcze bardziej, wychudł, zdawał się niknąć w oczach. Rozmowy z Jadwigą unikał, wpatrywał się w nią tylko czasem, gorączkowo szklącemi się oczyma, gdy sądził, że nikt na niego nie zważa. I składanie rymów szło mu teraz nie sporo. Pisał same religijne pieśni lub też epitafia żałobne.

Rozpoczęły się już były w tym czasie owe zabiegi Bogdanowe, a Sęp widząc,

jako gospodar, wsparty łaską królewską i protekcją przemożnych opiekunów, wołę tak matki, jak i córki ku sobie nakłania, coraz to bardziej niespokojnym i ponurym się stawał.

Nie żeby już wówczas dla siebie czegokolwiek spodziewać się mógł; jeno truchlał o los ukochanej niewiasty, wiedząc, jako tam, wśród Wołochów, nie tylko panowanie lecz i życie niepewne.

Domyślał się też, iż Jadwiga nie ma do Bogdana serca, jeno ją tak żądza zaszczytów i panowania ogarnęła, że szczęścia za-bywszy, siebie dla złudnej wielkości poświęcić była gotowa...

Napełniało go to nieraz oburzeniem, lecz gdy spojrzał na Jadwigę i widział na jej twarzy ślady trosk wewnętrznych,

to zapominał o wszystkim, afekt serdeczny brał górę, a duszę poety zapływała wielka litość.

To też gdy Bogdan na oznaczony termin nie przybywał, a troska i niepokój Jadwigi coraz stawały się widoczniejszymi, nie mógł już zdzierżyć siebie i wyruszył na zwiady, coby się z hospodarem stać mogło.

Nadaremno pani chorążyna przeciwiała się temu, przekładając jako zima sroga, a taki »mizerak« w zaspach śniegowych łącno zginąć może; nadaremno prosiła i Jadwiga. Szarzyński uparł się i pojechał.

Jadwiga była mu za to niewymownie wdzięczna. Wieczorem, w przeddzień wyjazdu poety, sama zbliżyła się do niego i spojrzała swemi czarnemi, przepaścistemi

oczyna tak samo, jak w ów letni ranek nad Strwiążem.

Ale teraz wzrok jego, przygniony, niepewny, cofał się nieśmiało.

— O, dziękuję wam... dziękuję... — przemówiła. — Jam może nie warta takiej ofiary. A proszę was, na wszystko zaklinam, byście o wasze zdrowie mieli staranie... Bo ja tu schnąć będę z niepokoju...

Sęp chciał rzec:

— Z niepokoju o hospodara...

Ale się strzymał; bo głos Jadwigi brzmiał szczerością, oczy patrzyły z uczuciem, a dłoń silna lecz piękna wyciągnęła się ku niemu i pochwyciła jego zimną, kościstą rękę, rozgrzewając ją swem ciepłem.

Więc tylko podniósł na nią swe błękitne, zamglone oczy i głosem, który drżał:

— Nie lękajcie się o mnie — odparł — a zachowajcie zawsze w przychylnem wspomnieniu...

Nazajutrz rano wyjechał.

A teraz to wszystko stawało w pamięci Jadwigi, gdy wyteżonym wzrokiem śledziła zbliżający się poczet rycerzy wśród dymu i blasków palących się ognisk.

I zapytana nie mogłaby była odrzec stanowczo, kogo z większym w tym momencie wyglądała niepokojem, kogo rychlej zdrowym ujrzeć byłaby pragnęła, czy Bogdana, który raczej przerażał ją, niż pociągał, czy biednego owego »mizeraka«, który coraz smutniejsze rymy skła-

dał, a którego oczy błękitne umiały sięgać tak głęboko do duszy wyrazem rzewności i słodyczy.

W uszach brzmiał jej ciągle głos jego słaby, stłumiony:

»I nie miłować ciężko i miłować
»Nędzna pociecha!«...

Powtórzyła mimowolnie szeptem początek jednego z rymów Sępowych.

A w tym momencie ozwały się z baszty zamkowej kotły i bębny... Otwierano bramy; liczni pacholikowie wybie-



gli z pochodniami i szykowali się w dziedzińcu.

Z hałasem i tętentem wjeżdżał hospodar na zamek.

W zamku tymczasem otwarto na oścież podwoje wielkiej, rzęsiście oświetlonej sali, kędy zgromadzili się wszyscy najprzedniejsi goście na powitanie, otaczając panią Reginę, która wzruszona bardzo, przybrać usiłowała majestatyczną postawę.

Jadwiga stanęła opodal; oparła się o framugę okna a twarz zwróciła ku drzwiom. Była blada, ale już spokojna. Ta walka wewnętrzna, która ją przed chwilą poruszała, słabła w ostatniej chwili. Brwi silnym zarysowane łukiem, ściągnięty się, oczy pały, na białem czole osiadł wyraz dumy.

Już teraz Bogdan był pierwszy w myśli, a z nim — gospodarstwo.

Nareszcie wszedł.

Ale nie o własnej mocy. Kasper Panielowski, Mikołaj Sęp Szarzyński i inni pod ramiona go wspierali.

A on stapał i słał się...

Ogromnego wzrostu, barczysty, twarz miał ogorzałą, niemal czarną, na której panował nos orli, wielki. Małe, czarne oczka, biegające żywo, paliły się, rzucając dziwne, zielonawe błyski. W tym momencie miały one wyraz gorączkowy, nieprzytomny a chmurny i przenikający. Usta grube, mięsiste, pokryte wązkim a długim, spadającym wąsem, otwierały się chwilkami, chwytając powietrze, lub zaciskały kurczowo, snadź pod wpływem wewnętrz-

nego bolu. Włosy barwy kruczej, kędzierzawe, podgolone wysoko nad czołem, zoranem grubymi fałdami, były teraz w nieładzie, zburzone. Ucho lewe i część twarzy zasłaniała szeroka chusta przez głowę przewiązana. Pomiętą też była i zdartą wspinała odzież gospodarza. Zupan złotolity, ściśnięty drogocennym pasem i ozdobiony wielkimi guzami z rzadkich kamieni, rozwany był na piersiach i poszarpany. Na plecach dźwigał Bogdan skórę lamparcia, przepyszną.

Pani Regina a za nią wszyscy rzucili się ku niemu w przerażeniu, widząc go takim chwiejącym się, słabym, nieprzytomnym.

— Coć się stało? dla Boga! — wołano.

A on rzucał dokoła roziskrzonym wzrokiem, dźwigał się, wrywał, usta otwierał i chwytał powietrze, nie wydając dźwięku ze ściśniętej krtani.

Zoczywszy zaś Jadwigę nieruchomo opodal stojącą i patrzącą na niego osłupiałemi oczyma, porwał się gwałtownie i ramiona ku niej wyciągnął:

— Pani moja... — wyszeptał.

Oczy zawarł i omdlewać się zdawał.

Usadzono go na krześle i trzeźwić poczęto. On zaś chwilami oczy roztwierał, szukał niemi Jadwigi, próbował się dźwignąć i znowu ogarniała go niemoc.

Raz wykrztusił tylko:

— Łotr Krzysztof Zborowski! łotr!

A potem znowu:

— Pić!

Podano mu kielich mocnego wina, które wypił chciwie i uspokajać się здаwał w chwilowej martwocie.

Wszyscy stali nad nim oniemiałi z przestachu. Każdy czuł, że stało się coś nadzwyczajnego, jakiś wypadek tragiczny, który przygotowywane z monarszą wspaniałością gody, mógł zamienić w pogrzebową stypę.

W sali oświetlonej wspaniale, wśród nagromadzonych skarbów, w otoczeniu pierwszych dygnitarzy, wobec jaśniejszej urodą narzeczonej, — ten, który miał jej z sobą przynieść berło władzy i znaczenie monarsze, sam niemocny, z głową opuszczoną na piersi, leżał jak gdyby w śnie przedśmiertnym...

Każdy chciał pytać a lękał się, — ci

zaś, którzy wiedzieli, nie spieszyli się z opowieścią...

Pierwsza pani Regina oprzytomniała i zbliżywszy się do Jmćpana Kaspra Paniewskiego, który z Bogdanem przybył, pytać go poczęła głosem stłumionym, pocichu.

Paniewski, człek już sędziwy, lecz bardzo pięknej postawy, a ceniony wielce dla niezwykłej prawości charakteru, iż fałszywego słowa nigdy nie wyrzekł, opowiadać począł spiesznie, a także cicho, iżby gospodar leżący jak w omdleniu, dosłyszeć nie mógł.

— Nie jest mi obcy ten Bogdan — mówił. — Wszak mężem jestem siostry jego, Maryny. Znam, jako prawy jest... ale z tem gospodarstwem nie wiem co

będzie... Więc zastanowić się trzeba co
czynić...

Pani Regina niecierpliwie przerwała:

— Lecz cóż mu się stało? powiadaj-
cie! Chłop jak dąb, a słania się jak
trzcina... Ranny, albo pijany...

— Nie pijany on jest — odparł pan
Kasper — jeno ranny i to ciężko... Jmćpan
Krzysztof Zborowski, chcąc wziąć pomstę
na nim, iż mu siostry swej młodszej Tro-
fany w małżeństwo dać się wzbraniał,
napadł na niego w drodze, gdy jechał już
do Czapel, ranił i jeńcem wziął... Dopie-
rośmy go ja i przez was uprzejmie przy-
słany, Jmćpan Sęp Szarzyński, z nie-
woli tej, gorzej niż tatarskiej, wykupili...
W ciemnicy siedział bez żadnego opa-
trunku, a potem, gdyśmy go wyzwolili,



miast leczyć się, uparł się jechać, — zimno go przejęło, rany się zaogniły, krew ściekła i omdlał...

A pan Sieniawski, który zbliżywszy się, pilnie owej opowieści słuchał, nie

objawiał wszakże żadnego wzruszenia, jeno półgłosem rzekł:

»Wszak już nie dziś ta nowina słyńie,
»Iż złego złe nigdy nie ominie«...

Pan Kasper ostro na pana kasztelana spojrział, lecz nie wdając się w spór prawił dalej:

— Obowiązkiem moim — rzekł z powagą — przestrzedz was pani chorążyno, abyście nic lekkomyślnie nie poczynali... albowiem rana ta, którą Jmćpan Zborowski Bogdanowi zadał, jest złem najmniejszym...

A na to Jadwiga, która opodał stała, zbliżyła się szybko i roziskrzonem spojrzeniem mierząc pana Kaspra:

— Ranny jest — przerwała z mocą — i niebezpieczeństwy otoczony, przedsię go

nie opuszczę!... Los padł, dołąć moja
przeniosę, bom taką wybrała!...

Pan Paniewski z uwielbieniem spoj-
rzał na mężną niewiastę, lecz odparł:

— Nie do was odwołuję się panno
chorążanko, jeno do macierzy waszej i
zacnych opiekunów, którzy na to są,
by wam wskazali drogę, jaką iść macie.
Piękne jest poświęcenie, wszelako rozu-
mnem być winno i mieć cel przed sobą,
inaczej szalonem będzie i szkodliwem...
W krótkich słowach powiem, co się
dzieje... Gdy Zborowski rannego Bog-
dana uwięził, doszło już było do mej
wiadomości, jako Wołosza swoim zwy-
czajem intrygi różne przeciw Bogdanowi
knowa i do sułtana Selima wyprawiła
posłów z prośbą o innego hospodara.

Selim zaś niekontent, jako Bogdan znaczne posiłki królowi Jegomości przyrzekł i jako związki rodzinne ma z Polakami, lękając się snadź, iżby za panowania jego Wołoszczyzna całkowicie z naszą Rzeczpospolitą nie złała się, chętnie widział to poselstwo i wnet kandydata na gospodarstwo znalazł, owego Iwonie, który tu na Rusi długi czas przebywał i już po wygnaniu ojca Bogdanowego, Aleksandra, gospodarzem chciał być...

Pan Sieniawski na głos się rozśmiał.

— Iwonia! — zawołał — znam go! Pacholikiem był u Firleja... może też być i gospodarzem wołoskim! Ja zawždy mojemu pacholikowi mówię, który niechętnie i opieszale służbę pełni, iżby o to gospodarstwo zabiegi czynił...

Pan Mielecki zaś zachnął się gniewnie na te złośliwe słowa i przerwał:

— To bez potrzeby gadanie!... Bogdana opuścić nie można. Król Jegomość mu przyrzekł...

— Otóż ja słyshałem — wtrącił pan Paniewski — a słyshałem na pewno, jako król zawahał się... Selim za radą Dywanu znaczne wojska Iwoni temu daje, król zaś przeciw się nie będzie, nie chcąc wojny wywoływać... Iwonia zresztą, człek niepewny, lecz wspaniały, jak mówią, przyrzeczenia różne czyni...

— Mój pacholik — ozwał się znów pan Sieniawski — gotów stokroć więcej obiecać... A co to mu wadzi?...

Mówiąc to zaś patrzył ustawicznie na Jadwigę, która stała bez ruchu, szeroko

rozwartemi oczyma spoglądając to na omdlałego Bogdana, to na mówiących.

A pani chorążyna ręce łamała, wzrokiem i słowy pytając opiekunów:

— Co czynić? radźcie!

Wystąpił tedy pan Jazłowiecki Jerzy i jał bardzo mądrze dowodzić, jako teraz nic stanowczego postanawiać nie wypadało: Bogdan ranny i niemocny, gospodarstwo zagrożone... Zaślubiny tedy należy odłożyć...

Obudziła się na te słowa z zamyślenia Jadwiga i znowu płomieniste oczy wznosząc do góry, zawołała:

— Nie, nigdy!... Przymknęłam, niech się stanie!...

Ale pan Mielecki nie dopuścił jej mó-

wić dalej, a popierając słowa pana Jazłowieckiego tak rzekł:

— Niech się wprzódzy Bogdan z ran uleczy... Choćby Iwonia na Wołoszczyźnie był...

— Już pono tam jest — przerwał Paniewski — już mu zdradziecka Wołosza przysięga... Soczawę pono zajął...

— Choćby tam był — ciągnął dalej wojewoda — ja z moją drużyną, wzięwszy Bogdana, pójdę i Soczawę zdobędę Iwonię ukarzę, a berło hospodarskie tobie panno chorążanko przyniosę...

— Ładne berło!... — mruzczał pan Sieniawski — jutro przyśle je Selim memu pacholikowi i... hospodarem będzie!...

Nikt na owe słowa nie zważał, jeno

wszyscy teraz słuchali pana Mieleckiego, który z ferworem wielkim i animuszem rycerskim mówił, jako zaślubiny odłożyć trzeba do czasu, gdy hospodarska stolica będzie zdobyta a Iwonia wypędzony i ukarany...

Wszyscy się na to zgadzali, jeno Jadwiga powtarzała ciągle:

— Nie!... Los padł... przyrzekłam! dopełnię!... Niech się potem stanie, jako sądzono...

Słyszając zaś to pani Regina ręce łamała w rozpacz a nawet gniewać się poczynała, krzycheć i przeklinać na czem świat stoi obmierzłych Wołochów, że aż się omdlały Bogdan ocucił...

Poruszył się, dźwignął i na chwiejnych nogach stanął.



Twarz mu pałała gorączką, oczy rzucały dzikie błyski. Językiem grubym tłuste a zaschłe usta zwilżał, postąpił parę kroków, zachwiał się, zatoczył i o stół oparł się całą siłą...

— Pić! — rzekł znowu.

Podano mu puhar; on pił chciwie do kropli, a gdy go usadowić chciano, odepchnął wszystkich i niespokojnym wzrokiem Jadwigi szukał.

Ona też ku niemu podbiegła.

A Bogdan, przenikając ją nieprzytomnym wzrokiem, który siał iskry, poił się jej pięknnością, za ręce ją chwycił i bełkotał:

— Chcą mi ciebie odebrać, piękna!... Nadarmo!... Iwonia podły człek... padnie! Pod miecz katowski szyję da jak

Tomża... A ja cię w koronę gospodar-
ską ubiorę i będziesz moją... będziesz
panią!...

Porywał ją, przyciągał ku sobie...

Ona zaś blada, przerażona, opierała
się, cofała...

Inni też skoczyli ku Bogdanowi, aby
go pomiarkować.

Lecz on, czy to, że wino chciwie wy-
pite zawróciło mu głowę, czy też, że go
z owych ran gorączka coraz silniej pie-
kła, nie porywał się już, lecz szamotał,
nie mówił, jeno krzyczał:

— Moją musisz być... ty piękna!...
bo ja nikogo nie lękam się! U was tak
gołębie duszą, jak u nas niewiasty...
u was za wyrokiem ścinają, u nas życie
nie znaczy nic... Pościnam łbów ludz-

kich trzysta albo tysiąc, a jeszcze będzie ludzi za dużo... Rodzic mój, Aleksander, nie bał się krwi i ja się nie boję! Tyłem wina w życiu nie wypił, ile on jej przelał... Albo to ludzka krew inna, niż wściekłego psa? Taka sama, czerwona... ot!...

Gwałtownym ruchem zerwał z czoła chustę, okrywającą ranę. Syknął z bólu, gdyż rana idąca od ucha, które się ledwie trzymało, aż do szyi, rozogniona była, sina i otwarta. Strumień krwi z niej trysnął, na suknię, ręce i twarz Jądwigi...

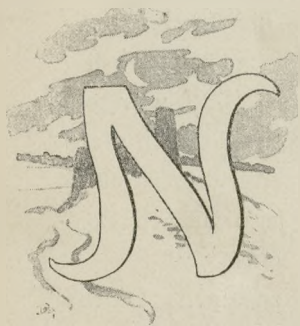
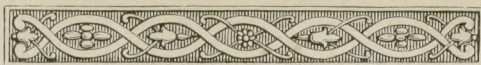
Ona krzyknęła przerażona, cofnęła się i wyrwała z objęć Bogdana, który z bólu i upływu krwi opadł na ławę bezsilny.

— Krew... krew... — powtarzała Ja-

dwiga, ze wstrętem strzepując rękami i wyprężając ramiona, jakby krwawe widmo od siebie odepchnąć chciała.

— Nie! nie! nie! — wołała bezprzytomnie.





ocy tej do późna
nikt nie spał w
zamku czapel-
skim.

Bogdan był
w malignie, a
wszyscy w prze-
strachu czuwali długo, rozprawiając bez-
ładnie, co począć w tak tragicznym
wypadku.

Jadwiga zamknęła się w swojej kom-
nacie, matkę nawet błagając, by ją osta-

wiła samą, w spokoju. Chciała być z myślami swemi, które napełniały jej duszę.

Krew Bogdana, która padła na nią, jego słowa urywane a dzikie, przeniknęły ją taką trwogą, jakiej nie doznawała nigdy. Na samo to wspomnienie wszystko w niej się wzdrygało... Ze wstrętem patrzyła na swoje ręce, po których przed chwilą ściekały krople duże, czerwone a ciepłe... I brzmiały jej w uszach Bogdanowe słowa:

»Co u nas krew znaczy?... U nas niewiasty tak bezlitośnie duszą, jak u was gołębie!«...

Przenikał ją dreszcz, sen zbiegał z powiek. Próbowwała modlić się, lecz słowa modlitwy szeptały jeno usta, — dusza ich nie czuła...



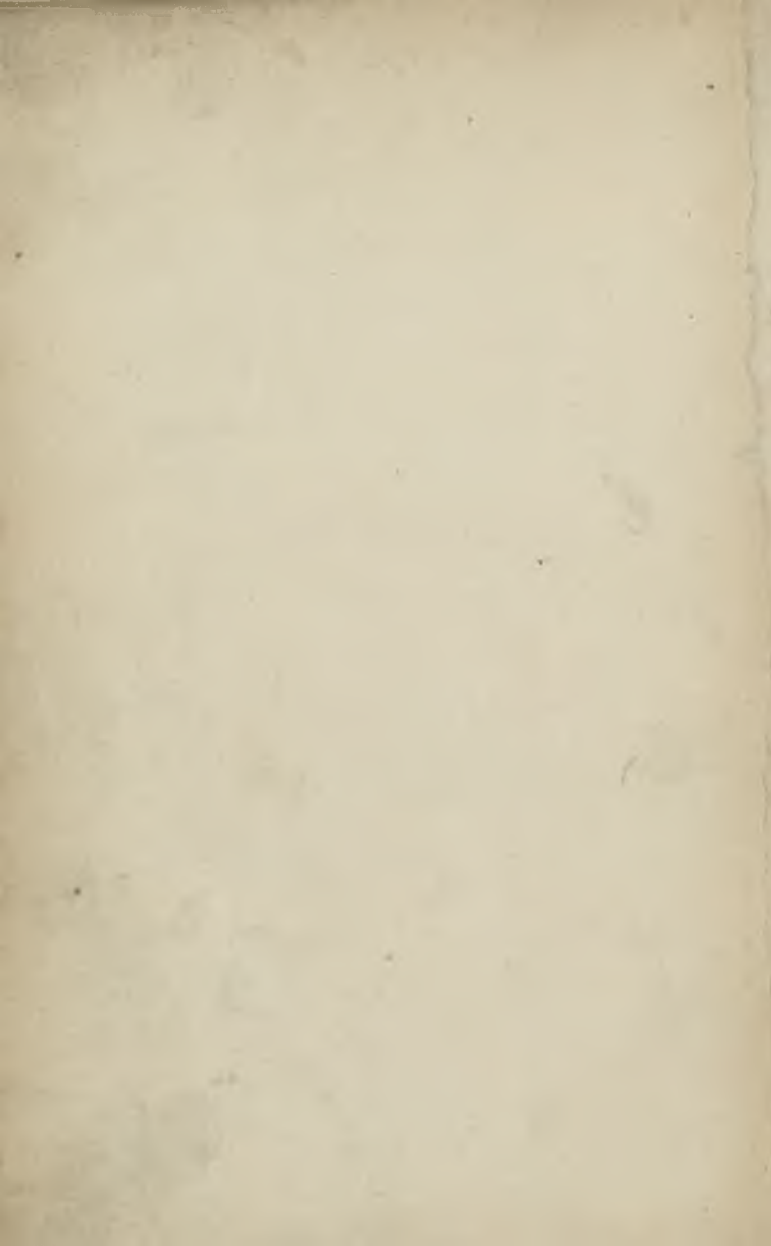
Zachłyśnął się, — obrócił się na drugi bok i spał dalej...

Sen ziścił się niebawem...

Bo takim było i takim jest życie...



3402



Nie rozbierając się, zbliżyła się do okna.

Noc była taka sama gwiaździsta, jak wówczas, gdy wśród cieniów zdawało się jej, iż dostrzega błędzącą postać poety... Jeno wówczas było lato... Szum drzew liściem okrytych, a poruszanych lekkim podmuchem wiatru, który niósł z sobą woń z pól i łąk bujnych, upajał, pieścił duszę, kołysał myśli, uspokajał troski... A teraz, — łoskot bezlistnych gałęzi, zdawał się ich skargą, że je mróz ściska, że w nich życie zamiera pod naciskiem śnieżnej nawały, że nie wszystkie przebędą zimę i doczekają wiosny...

Ileż to takich istnień w przyrodzie zgnębi nawałnica śniegowa, a soki z nich żywotne wysie mróz!...

Pustka i zimno -- wszak to śmierć!...
Tylko niebo wyiskrzzone gwiazdami, które
brylantowe siejąc blaski, mrugały zalotnie,
zdawało się drgać życiem, — życiem
dalekiem, nieuchwytnem i niepojętem,
które z uspionej i zmrożonej ziemi
uciekło...

Oko Jadwigi posępne, zadumy pełne,
błądziło wśród tej pustki zimowej...
Ścieżki zasypane śniegiem, bieleją w cieniach,
— kręte, poprzerywane, niby lekka,
przejrzysta, a zdarta i pomięta zasłona
ślubna panny młodej...

Nad ścieżkami temi konary drzew
zniżyły się, obciążone zimnym szronem,
zgnębione, martwe.

Cisza...

Nagle odgłos kroków...



Po zmrożonym śniegu ktoś szedł powolnie, skrzypiąc. Przesunęła się postać smukła, wątpła jak cień... I zatrzymała się pod oknami Jadwigi, jak wówczas — w lecie.

I Jadwiga jak wówczas poznała od razu:

— To Szarzyński!

A ona o nim zapomniała zupełnie... Nawet słowem jednym nie podziękowała mu za jego poświęcenie. Widziała go wprawdzie, gdy wprowadzał Bogdana; widziała później, gdy blady, mizerniejszy niż kiedykolwiek, stał opodal, w milczeniu, patrząc smutnymi oczyma na wszystko co się działo...

Chciała wówczas zbliżyć się ku niemu, podać mu rękę, podziękować choćby

bez słów, jednym uściskiem dłoni, — ale czyż mogła?... czy miała przytomności dosyć w tak okropnym momencie?...

On zaś — ten biedny poeta — chodził teraz samotny, w noc mroźną, wśród pustki, może zrozpaczony, zbolały, z potępieniem dla niej w sercu, a na pewno nieszczęśliwy, iż mu się ani jedno życziwe nie dostało słowo za to, co uczynił...

Nie namyślając się dłużej, Jadwiga narzuciła na siebie ciepły, futrem bramowany płaszcz szeroki i wybiegła szybko z komnaty...

Sęp oddawna błąkał się po dziedzińcu i ogrodach zamkowych.

Gdy Bogdana wprowadzono do sypialni i uspokoiono, opatrzywszy rany, —

Szarzyński wyszedł, aby ochłonać po doznanych wrażeniach.

Słusznie domyślała się Jadwiga: czuł się mocno nieszczęśliwym. Poświęcił się a bez celu, bo teraz zyskał przeświadczenie, iż niedola czekała Jadwigę w związku z człowiekiem niepewnego bytu, a może i charakteru. Pozornie okrzęsany Wołoch, pozostawał w gruncie zawsze dzikim; teraz zjednywał sobie wszystkich, a potem, cel osiągnąwszy, mógł się okazać takim samym jak ojciec, gospodar Aleksander, który dopuszczał się najstraszniejszych okrucieństw. Więc po co go bronił? Po co namówił Paniewskiego, by z nim razem niósł pomoc Bogdanowi, gdy ten ujęty przez mściwego Zborowskiego Krzysztofa, mógł w ciemnicy wię-

ziennej dokonać nędznego żywota?...
Lepiej przecież, aby on był zmarniał, niżby Jadwiga nieszczęśliwą być miała!...

Ach, ta Jadwiga!... Miłował ją nad wyraz, a czasem nienawidził... Nie powitała go ani jednym słowem, nie spojrzała nawet na niego, gdy przybył, cała zajęta Bogdanem...

A on ją tak kochał.. tak bardzo kochał!...

Dla jej szczęścia gotów był poświęcić wszystko, samego siebie na ofiarę dać, byle jej dobrą dolę zapewnić. Gdyby mógł wiedzieć, że ona szczęśliwa, toby się jak pies wierny u bramy jej domu położył i strzegł i pilnował, iżby to płochliwe szczęście nie ubiegło... Umykające schwy-

tałby i przyprowadził napowrót do jej stóp... do stóp tej ukochanej...

Podniósł głowę w górę, ku oknom.

Ona tam jest — tak niedaleko! — i czuwa, bo światło migoce...

Przeniknęło go zimno... Lekko był odziany, a wicher mroźny smaga, do szpiku kości przenika... Ale to nic!... Co mu tam życie? na coć się przyda?...

Spojrzał dokoła siebie. Cisza i pustka, ale wśród tej ciszy odgłosy różne: mowa nocy, niepojęta dla wielu, dla niego zrozumiała i urocza... Przyleci czasem od wzgórz podmuch wichru, usiada na drzewach, zakołysze gałęzmi, a one objając się jedna o drugą, zrzucają szron, który z cichym chrzęstem spada na ziemię... Ptak zbudzony załopoce skrzy-

dłami, w oddali pies zaszczeka strzegący wrót pana... a oto pierwszy kur pieje... I znowu podmuch wichru, lżejszy, jęczący... Cudowna muzyka nocy... Ile tu dźwięków, a ile barwy!

Ciemno. Wszakże z cieniami oswaja się oko i widzi, jak od głębokiego tła nieba odstają miliardy gwiazd, niby ćwieków brylantowych wbitych w przestrzeń bez granic; — dostrzega, jak te blaski przenikają cienie i jak wśród nich, w oddali, rysują się wzgórza, okryte śniegiem, który się iskrzy, a gdzieś tam starł się, zszarzał i piętna ma czarne... Na tych wzgórzach drzewa wyglądają jak olbrzymy, sięgające sztywnymi ramionami ku gwiazdzystemu niebu, jakby stamtąd wzywały pomocy.. Wśród zarośli, do-

palają się jeszcze beczki smolne... Rozpadły się, spopielwały, już wygasły... Od czasu do czasu wszakże dobywają się jeszcze iskry... Podmuch wichru zabłąka się tam czasem i jakby ogrzać się chciał, roznieci je... Rozpryskują się i — nikną...

Mróz coraz tęższy. Od rzeki, od Strwiąża dochodzi głuchy łoskot lodu, który u brzegów pęka... Znak, że jutro mróz będzie jeszcze silniejszy...

Och, jak zimno! Krew w żyłach stygnie, a pomimo tego twarz i dłonie pali gorączka. Śliczny jest ten świat nawet w tej ponurej szacie zimy, — ale go rzuć trzeba, gdy przyjdzie czas...

— Dla mnie on już niedaleki... — wyszeptał Szarzyński.

W piersi czuje ból i brak tchu, a w sobie zniechęcenie ogromne:

— Po co życie? — spytał zcicha.

Spojrzał znowu w okna Jadwigi. Mi-gnęło tam światło i przesunął się cień postaci niewieściej.

— Niedościgniona rozkosz, wymarzone szczęście, a wszystko boleśna złuda! — przemówił półgłosem.

Podniósł wzrok ku gwiazdzystemu niebu i mówił do Boga, w natchnieniu:

- »Twą łaską wolny, pomocą Twą nogi
- »Moje nie zstąpią z Twojej świętej drogi,
- »Dokąd duchowi mojemu mieszkanie
- »W tem wątłym ciele będzie, o mój Pani!«...

Drgnął nagle — i cofnął się. Miękką, ciepłą dłoń oparła się na jego ramie-





niu; głos stłumiony, a pieszczotliwy mówił niemal szeptem:

— Przyszłam was przeprosić... Nie podziękowałam, a bardzo wam wdzięczna... całym sercem wdzięczna. Co się stanie ze mną, nie wiem; ale to chcę, tego pragnę, byście wiedzieli, że jestem wdzięczna...

Tchu nie stało w piersiach Szarzyńskiego. Tę, o której marzył, do której tęsknił, którą miłował nad życie, Jadwigę widział obok siebie, rozczuloną, pieszczotliwą, garnącą się ku niemu wśród ciszy nocnej, pod niebem gwiazdzistym, w pustkowiu sennej przyrody...

— Czy to może być?... — szeptał — żali to być może?...

A ona tuliła się ku niemu. Skrzepłe

jego dłonie ujęła w swoje i ogrzewała je cisnąc ku sobie.

Ruszyli się z miejsca i szli wśród drzew, wąską ścieżką, po zmarzniętym śniegu, w dal, kędy od czasu do czasu na białym całunie rozestłanym na ziemi i na szronie, uginającym gałęzie, przebłyskiwały brylantowe gwiazd promienie, że cała przestrzeń przed nimi zdawała się im nieskończoną srebrzystą otchłanią, w którą szli, marząc...

— Oto moje szczęście... chwila! — rzekł wreszcie poeta. — O takiej chwili marzyłem i mam ją... przed śmiercią...

Ona zachnęła się na to i przeczyć chciała. Lecz on odparł:

— Wiem to... umrę rychło, bo w piersiach brak tchu, a w sercu nadziei... Zapatrzyłem się w gwiazdę i pójdę ku niej, tam... w przestrzeń, bo ona ku mnie nie znajdzie...

— A ja?... — przerwała Jadwiga — co będzie ze mną?...

— Ty?... — spytał poeta.

I mówił dalej rymami:

- »Ozdobo ziemi! Szczęśliwy, szczęśliwy,
- »Komu cię Pan Bóg naznaczył życzliwy,
- »Komu cię Hymen słowy statecznemi,
- »I pochodniami przyłączy wiecznemi«.

Ona zaś, jakby oprzytomniała nagle, wysuwając rękę swą z dłoni poety, sta-

nęła i rzucając na niego roziskrzzone spojrzenie swych przepaścistych oczu:

— Hymen! — powtórzyła z goryczą — widziałeś przecie... Na rękę moich czuję ciągle krew, a w duszy obrzydzenie mam... Co mnie czeka?...

— Bóg jeden wie... — odparł poeta z uniesieniem. — Ty wszakże nie idź tam, kędy pociąga cię jeno urok sławy i zaszczytów... »Złoto, szept, sława i piękne oblicze muszą się mienić i muszą się psować«. Słuchaj serca i sumienia: one wskażą drogę.

— Serce i sumienie... — powtórzyła jak echo Jadwiga, patrząc przed siebie w zamyśleniu.

A Szarzyński rzekł jeszcze, ujmując dłoń jej w swe ręce:

»Jeśli jest cnota chwały godna wszędzie,
»Tedy ma lutnia ciebie sławić będzie,
»I wiesz mój śpiewać, bowiem tobie k'woli
»Serce mię boli«.

Szli jeszcze czas jakiś w milczeniu, —
a potem żegnali się smutni, lecz uspo-
kojeni i wzmocnieni na duchu.

Szczęście-chwila minęła!

* * *

Oni przeżyli tę chwilę na jawie a pan
Sieniawski we śnie.

Po rozmowie z panią Reginą, w któ-
rej ona oświadczyła mu stanowczo, iż
jako ostatnia z Malczyckich, na związek
Jadwigi z tak niepewnym i niebezpiecz-
nym hospodarem jak Bogdan, nie ze-

zwoli, ułożył się pan kasztelan na spoczynek w wybornym humorze.

Śniło mu się, iż jest świadkiem własnego wesela. Widział siebie, osiwiatego, podeszłego w leciech, wdowca po trzech żonach, stojącego na ślubnym kobiercu obok wspaniałej urodą i ponętnej młodością Jadwigi.

Stali przed ołtarzem i przysięgali sobie miłość dożgonną.

— Tak mi Panie Boże dopomóż!... — bełkotał przez sen pan kasztelan. — Gospodar, nie gospodar... Wybrał się bez wiosła na wodę i przepadł... Wierszopis Sęp umarł, bowiem zdechlak był... A ja, z kasztelana wojewoda ruski, Jadwigę cudną za żonę mam... Czwartą żonę... brrr! wytrzymam, dalibóg!...



